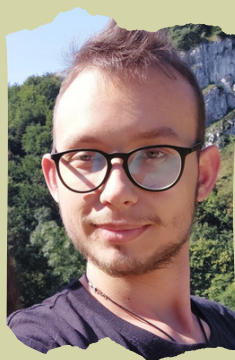




**39. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2026 –**

DZIEŃ 2: 17.10.2026 r.

Nasza redakcja



Jakub Pisarski

Absolwent studiów historycznych, naukowo zajmujący się losami polskich Romów po II wojnie światowej. Wieloletni amator teatru, zwłaszcza musicali, oraz równie amatorski recenzent dzieł kultury. W teatrze najbardziej ceni unikatowe doświadczenie każdego spektaklu i wynikające z tego emocje. Pasjonat literatury pięknej, od starożytności po twórczość współczesną, oraz „gier bez prądu”.



Karolina Załęska

Magister zarządzania i komunikacji w sztukach scenicznych oraz filologii angielskiej. Pasjonuje ją teatr, jazda konna, podróże i odkrywanie nieznanego. W wolnych chwilach zaczytuje się w książkach, odwiedza galerie sztuki lub eksperymentuje w kuchni. Szczególnie interesuje ją teatr absurdu, którego nieprzewidywalność i zabawa formą sprawiają, że podczas spektakli pozostaje w pełnym skupieniu. Zdarza jej się również występować na scenie, dzięki czemu zna teatr także z perspektywy aktorki.



Paulina Kabzińska

Absolwentka historii, świeżo upieczona nauczycielka, miłośniczka literatury klasycznej i podróży, ale przede wszystkim gorąca wielbicielka teatru, a także recenzentka Dziennika Teatralnego. Szczególne miejsce w jej sercu znajdują musicale, chociaż lubi także wszelkiego rodzaju eksperymenty formą. W teatrze najbardziej ceni sobie jego specyficzną atmosferę, ulotność i niepowtarzalną relację między aktorami, a widzami.



Aleksandra Kubczak

Absolwentka filologii polskiej i wieloletnia wielbicielka literatury (zwłaszcza szeroko pojętej fantastyki) oraz teatru. Zawodowo pracuje jako lektorka języka angielskiego i recenzuje spektakle dla Dziennika Teatralnego. W wolnym czasie maluje akwarelami, gra w RPG i pisze książki, które ma nadzieję wypuścić kiedyś na rynek wydawniczy. W kulturze ceni przede wszystkim dzieła wywołujące emocje i poruszające głębię relacji międzyludzkich.

Spis treści

4

Teatr ETNA

„Kuracja Doktor Pokerface” | Piaseczno

5

Teatr APROPO

„Co z Wami jest nie tak?” | Przedecz

6

Teatr Mostów

„Dwie bliźny” | Gorzów Wielkopolski

7

Teatr Nie-Obecni

„W pogoni za wielkością” | Wieluń

8

Fundacja Rozwoju Artystycznego APPENDIX

„Czarna wygrywa, czerwona przegrywa” | Wrocław

9

Amatorskie Teatr Towarzyski

„Wesołe kumoszki z Windsoru” | Lublin

10

Teatr Kaworki

„Muzykanci z Bremy” | Kraków

11

Teatr Kłoszart

„Pieprzona Apokalipsa” | Olsztyn

12

Grupa estradowa SCK

„Klub wdów” | Sieradz

13

Teatr Otczapy

„Moje Dwie Głowy” | Września

Disco Mokotów

Muszę przyznać, że na niniejszy spektakl wpadłem niejako z przypadku: próg sali przekroczyłem bez znajomości twórców, tytułu, nie mówiąc nawet o opisie fabuły. Takie okoliczności potrafią wprowadzić recenzenta w stan niepokoju, nurtując go wieloma aspektami prostego pytania: w jaką to kabałę tym razem mnie wpakowali? Szczęśliwie nie zdążyłem dobrać do tego etapu, a wszelkie obawy wygasły w kołysce już na etapie zapowiedzi. Gdy tylko padła nazwa ETNA, rozsiadłem się w spokoju ducha, gotowy na kawał dobrego teatru.

„Kuracja Doktor Pokerface” to teatralna adaptacja fragmentu książki, konkretniej 1. rozdziału „Magicznej Rany” pióra Doroty Masłowskiej. Tragikomiczne perypetie rozbitej na dwa plany czasowe Gabi [Julia Lewandowska & Maja Zapała] obserwuje się od pierwszej do niemal ostatniej minuty z zapartym tchem. W mgnieniu oka widz zostaje wciągnięty w świat spektaklu, przyjmuje jego osobliwą logikę za własną i zaczyna cieszyć się treścią. Tej jest mnóstwo, na scenie dzieje się bardzo dużo, bo i wszelkiego autoramentu twórcy wyglądają mi na ludzi mających wiele mądrego do powiedzenia. Zawarte w spektaklu spostrzeżenia dotyczące życia codziennego i wyrosła na tym podglebiu krytyka społeczna są niebywale adekwatne, celne, ze wszech miar udane. Na ów efekt składają się liczne czynniki – kostiumy, światło, dźwięk, rekwizyty – wszystkie godne jednoznacznej pochwały. Całość cechuje się konsekwentnym, atrakcyjnym stylem audiowizualnym, przywodzącym na myśl współczesne dzieła realizmu społecznego (np. twórczość Irvine’a Welsha czy „Disco Elysium” studia ZA/UM), gatunku skądinąd skandalicznie niedoreprezentowanego w kulturze polskiej XXI w. Na tle ogólnego kunsztu „Kuracji...” najbardziej błyszczy choreografia, moim zdaniem najmocniejsza strona zespołu aktorskiego. Podobnie na tle bardzo rzetelnego aktorstwa wyróżniłbym Helenę Złotnicką za drugoplanową, niezwykle czarującą rolę akredytowaną jako „Kochanica Pieczywa”.

Istnieją na naszym festiwalu przedziwne punkty krańcowe, gdzie teatr amatorski pozostaje amatorskim już tylko z nazwy. Za taki przypadek uznaję teatr ETNA, nie ustępujący profesjonalistom pod żadnym względem... co więcej, przerastający wielu z nich! Przyjmijcie moje słowa za dobrą monetę, kiedy mówię: mamy w Łodzi teatry komercyjne, których repertuar in toto reprezentuje poziom rażąco słabszy od „Kuracji...”. Jedyną wadą nazwałbym zbyt pospieszne zakończenie, gdzie wyciemnienie i oklaski wzięły mnie z zaskoczenia, ponieważ spodziewałbym się jeszcze kilku minut finału. Fakt, że chciałbym więcej, tylko podkreśla wysoką jakość wykonania. Spektakl jest zabawny, mądry, artystycznie interesujący i kreatywnie zrealizowany. Teatr ETNA już po poprzedniej premierze miał we mnie sympatyka, ale teraz zapracował sobie na coś więcej – zyskał nowego fana.

Wyznanie reżyserki, czyli o (nie)mocy baśni

Reinterpretacje baśni to jeden ze stałych motywów nawiedzających ŁÓPTA, występujący w rozmaitych kształtach i kolorach. Bywają ujęcia komiczne, tragiczne i takie pomiędzy, ale mało które dorównuje oryginalnością „Co z Wami jest nie tak?” w wykonaniu zespołu teatralnego APROPO. Śpiąca Królewna to jedna z tych baśni, które najbardziej proszą się o retusz i podreperowanie w oczach współczesnych odbiorców. Omawiany spektakl takiej zmiany nie zapewnia, ale w bardzo zajmujący sposób sygnalizuje, wyjaśnia i roztrząsa, skąd w widowni takie pragnienie.

Przedstawienie doskonale trafiło w mój gust. Stoi za nim niebanalna myśl, którą twórcy komunikują widowni w sposób szczery i przejrzysty. Wykonanie ma gest – cieszy bogata oprawa muzyczna, wykorzystanie niemałej liczby postaci drugoplanowych i duża ilość rekwizytów (co samo w sobie uznaję za dowód zaangażowania). Można tu dostrzec również wiele walorów w rozumieniu obiektywnym. Ciężar gatunkowy spektaklu podźwignęła Agata Ostrowska jako Reżyserka, aktorsko trzymając fason i ani przez sekundę nie wychodząc z roli. Szczególnie urzekli mnie Bartosz Witczak i Patrycja Skorupa w rolach Króla i Królowej – dostrzegam między nimi dużą chemię na scenie. Nie oznacza to bynajmniej, że ktokolwiek z trupy wypadł źle. Bohater zbiorowy, czyli grupa postaci-aktorów stale uwijających się po deskach sceny, jest duszą tego spektaklu. Każdy uczestnik dołożył do tej konstrukcji część siebie, nierzadko wnosząc wyczuwalnie osobistą energię do scen, na które normalnie nie zwróciłbym wcale uwagi! Owi „mistrzowie drugiego planu” dobrze wiedzą, kogo z nich mam na myśli, i tym właśnie pragnę złożyć wyrazy uznania.

Był to potencjalnie najśmieszniejszy spektakl tegorocznej ŁÓPTY. Wiem z autopsji, że tutejszą widownię wcale niełatwo rozbawić, a niejeden solidny komediowo zespół zszedł ze sceny pokonany przez obojętność festiwalowego widza. APROPO o taki problem nawet się nie otarło. Publiczność zginała się ze śmiechu, parskając we własnym tempie, szybko złapała flow pozwalające nadążyć za dynamicznym ruchem fabuły.

Podsumowując: wielka szkoda, że spektakl znalazł się poza konkursem, bo sytuuję go w czołówce najlepszych występów, jakie było mi dane zobaczyć w tym roku. Naturalnie dawałoby to widoki na jedną z nagród. Wstając dziś z łóżka, nigdy nie pomyślałbym, że trwający mniej niż pół godziny spektakl grupy młodzieżowej okaże się tak poważnym zawodnikiem.

Ach, ta ulewa!

Teatr Mostów z Gorzowa Wielkopolskiego przedstawia w „Dwóch bliznach” Aleksandra Fredry historię pełną pomyłek i nieporozumień. Gdy do dworku Kasztelanowej przybywa dwóch młodych mężczyzn, z których każdy ma bliznę nad okiem, pojawia się pytanie, który z nich jest przyszłym narzeczonym Wandy Małskiej. Ta sytuacja staje się punktem wyjścia do komicznych spięć. W reżyserii Małgorzaty Kocik przedstawienie opiera się przede wszystkim na sprawnym rozgrywaniu scen i umiejętnym wykorzystywaniu komediowego potencjału tekstu.

Jednym z mocniejszych punktów spektaklu jest duet Tulskiego i Barskiego, granych przez Bartka Zienkiewicza i Konrada Pruszyńskiego. Ich dialogi mają dobre tempo, a wymiana zdań brzmi wiarygodnie. Aktorzy nie ograniczają komizmu do samego tekstu. Ważną rolę odgrywają również fizyczność, gest i sposób rozgrywania przestrzeni. Na uwagę zasługuje dykcja Zienkiewicza, szczególnie istotna przy Fredrowskim języku, w którym pobrzmiewają dawne formy. Zachowanie tej warstwy językowej nadaje spektaklowi wyrazisty rys, choć jej zestawienie ze współczesnymi rekwizytami, takimi jak komputer i słuchawki nauszne, rodzi pytanie o przyjętą konwencję. Czy to świadome przeniesienie Fredry w teraźniejszość, czy raczej swobodne połączenie dwóch porządków? Sam kontrast jest zauważalny, lecz nie wiadomo, jaką myśl ma rozwijać. Udana jest również rola Kasztelanowej w interpretacji Agaty Iwaszko. Aktorka pewnie prowadzi rolę komediową, konsekwentnie budując sytuacje, które wywołują śmiech publiczności. Jej bohaterka ma wyrazisty temperament i sceniczną swobodę, a kreacja sprawia wrażenie autentycznej.

Na pochwałę zasługuje funkcjonalność scenografii. Każdy z elementów zostaje „ograny” i pomaga budować sytuacje sceniczne. Przedmioty pracują na rzecz akcji, zamiast pozostawać obojętnym tłem. Plastyczną stronę przedstawienia spaja również konsekwentnie powracający fiolet. Pojawia się w świetle, kostiumach i ich detalach, kwiatach, kopercie, a nawet worku na śmieci. Ta powtarzalność nadaje spektaklowi rozpoznawalny wizualny ton, choć sama w sobie nie przesądza o jednoznacznym znaczeniu koloru.

Widownia często reagowała śmiechem, a widoczna radość aktorów z występowania sprawiała, że ich energia udzielała się publiczności. Spektakl pozostawia po sobie wrażenie lekkiej, pełnej scenicznego temperamentu komedii, która przypomina, że klasyczny tekst może wciąż bawić współczesnego widza.

Moja śliweczka jest taka słodziutka

W spektaklu Teatru Nie-Obecni z Wielunia, inspirowanym tekstami Tadeusza Różewicza, pragnienie wielkości przybiera postać zbiorowego rytuału. Bohaterowie chcą być wyżej, wiedzieć więcej i znaczyć więcej niż inni. Pytanie, czy ambicja pomaga odnaleźć własne miejsce, czy raczej staje się przekleństwem, powraca w kolejnych obrazach przedstawienia.

Już przed rozpoczęciem spektaklu uwagę przyciąga rząd różnobarwnych naczyń: dzbanków, czajników i konewek. Obok nich stoi podium z trzema miejscami, które szybko okazuje się głównym polem walki. Początkowa sekwencja powtarza się dziewięć razy. Kolejni bohaterowie stracają osobę zajmującą pierwsze miejsce, by przejąć jej pozycję, a zepchnięci przechodzą w transowy taniec. Powtarzalność układu się w czytelny obraz ambicji, która nie zna kresu. Zwycięstwo nie kończy rywalizacji, lecz wyznacza następnego pretendenta.

Wyrazistą oprawę tworzą kostiumy i makijaże. Kolory, zróżnicowane faktury i zaskakujące detale (od dwóch różnych butów po skrzydła czy wstążki zamiast sznurowadeł) budują świat pomiędzy baśnią a snem. Wizualna osobność postaci kontrastuje z podobieństwem ich zachowań. Tłum potrafi podnieść kogoś z kolan, by chwilę później tę samą osobę poniżyć i oskarżyć. Każdy chce zostać usłyszany, nikt nie chce słuchać.

W scenach (możliwie) inspirowanych „Rajskim ogródkiem” Różewicza prywatny świat rodziny urasta do rangi osobnego raj. Matka zachęca córkę do zjedzenia dojrzałej śliwki, a wąż na jej koszuli przywołuje skojarzenie z biblijnym Edenem. Córka, osłonięta przez rodziców, pozostaje przede wszystkim „córeczką swojej mamusi”. Wszystko jest własne, prywatne i warte obrony. Gdy rodzina odbiera przybyszkę jako zagrożenie, ojciec ją zabija, a domownicy zajmują podium. Własne bezpieczeństwo staje się usprawiedliwieniem przemocy, a zwycięstwo – pozycją zdobytą kosztem drugiego człowieka.

Spektakl ma w sobie coś z fever dream. Obrazy są niepokojące, niekiedy komiczne, a ich sens pozostaje otwarty na interpretację. Humor ujawnia się choćby w scenie, w której bohaterka demonstrująca językową wyższość chwali się doktoratem z „ę”. To celna ilustracja potrzeby poprawiania innych i ustanawiania hierarchii nawet tam, gdzie stawka jest znikoma.

W finale wybrzmiewa „Dziwny jest ten świat”, a kolorowe konfetti tworzy obraz świętowania, którego sens pozostaje dwuznaczny. Aktorzy wracają do naczyń z początku spektaklu, obmywają twarze i symbolicznie dzielą się wodą z publicznością. Gest można odczytać jako próbę zmycia pychy, egoizmu i brudu pozostawionego przez pogoń za wielkością.

„W pogoni za wielkością” nie odpowiada na pytanie, czy człowiek potrzebuje uznania i przewagi nad innymi, by czuć, że jest kimś wartościowym. Pokazuje jednak niepokojący mechanizm, w którym dążenie do osiągnięcia czegoś wielkiego nie raz przeradza się w potrzebę dominacji.

Zagrajmy w remika

Sen bywa schronieniem przed rzeczywistością, ale może też stać się przestrzenią, w której powracają wyparte wspomnienia. W spektaklu „Czarna wygrywa, czerwona przegrywa” przyglądamy się granicom ludzkiej pamięci, traumie i próbom odzyskania kontroli nad własną historią. Widz zostaje wciągnięty w układankę, której elementy długo nie chcą do siebie pasować.

Centralną postacią jest pacjentka grana przez Marcelinę Aniot, przebywająca w eksperymentalnym ośrodku psychiatrycznym. Pod wpływem silnych leków doświadcza realistycznych snów, w których może ingerować w przebieg wydarzeń. Jej wspomnienia mieszają się z sennymi wizjami, a twarze personelu zaczynają przypominać osoby z rodzinnej przeszłości. Ten zabieg staje się podstawą konstrukcji spektaklu. Kolejne sceny przypominają migawki, które widz musi samodzielnie zestawiać, próbując ustalić, co wydarzyło się naprawdę, a co jest wytworem umysłu bohaterki.

Szczególnie interesująco wypada zderzenie pozornej normalności z ukrytym niepokojem. Scena urodzin, początkowo wypełniona śpiewem i życzeniami, stopniowo odsłania rodzinne napięcia, alkoholizm matki, niewierność ojca i naruszanie granic pacjentki. Elegancki wygląd postaci kontrastuje z ich moralnie wątpliwymi zachowaniami.

Gdy krzesła trafiają na podłogę, sceniczny porządek ustępuje miejsca chaosowi. Rozwiązanie współgra z rozpadającym się światem pacjentki. Podobnie działają zaciemnienia i gwałtowne przejścia między scenami. Pojawiający się tekst „My bez światła wariujemy” można odczytać jako komentarz do stanu bohaterki, ale również do sytuacji widowni. Pozbawiony ciągłości obraz wymaga od odbiorcy wzmożonej uwagi. Wśród wykonawców wyróżniają się Anna Groffik i Patrycja Smolny. Ich praca mikroekspresją pozwala dostrzec napięcia niewypowiedziane wprost, a drobne zmiany mimiki budują niepokój skuteczniej niż jednoznaczne deklaracje.

Spektakl pozostawia pytanie o możliwość dotarcia do prawdy poprzez powrót do bolesnych doświadczeń. Przedstawienie podejmuje interesującą próbę ukazania pamięci jako czegoś niepewnego, podatnego na zniekształcenia i uwikłanego w emocje.

Farsa na opak

„Jak spadać, to z dobrego konia” – przysłowie to równie prawdopodobnie mogłoby zostać wypowiedziane przez sir Falstaffa [Grzegorz Wankiewicz], jak i reżysera całego spektaklu Dariusza Borucha. Adaptować Szekspira w teatrze amatorskim to wyzwanie godne szacunku samo przez się. Co zatem powiedzieć o próbie zaadaptowania nie „Romea i Julii” czy „Hamleta”, lecz bardzo niedocenianej sztuki, istniejącej gdzieś na peryferiach powszechnego wyobrażenia o twórczości Barda. Dość powiedzieć, że zasiadłem na widowni, życząc twórcom jak najlepiej.

„Wesołe kumoszki z Windsoru” to mieszczańska w duchu, moralizująca komedia, której głównym bohaterem jest wspomniany wyżej rubaszny rycerz imieniem Falstaff. Doskonale dobrany do roli aktor stanął na wysokości zadania i zdołał unieść niemały potencjał komediowy towarzyszący tej ikonicznej wręcz postaci. Jego interpretacja, włącznie z urokliwymi manieryzmami, dodała naszemu antybohaterowi dużo swojskości; nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że antybohaterem sztuki jest swego rodzaju zły brat bliźniak pana Zagłoby. Podobnie błyszczą panie Page i Ford [odpowiednio Beata Lembowicz i Irena Mazur], jawiące się na scenie jako przesympatyczne, obdarzone dużą interpersonalną chemią.

Główną przywarą „Wesołych kumoszek...” jest potraktowanie tekstu w procesie adaptacji. Dramat jest nieco okrojony, szkolną wersją samego siebie. Skłania to widza do zadawania niewygodnych pytań o ilość „cukru w cukrze” względem oryginalnego dramatu. Po oklaskach spektakl zostawia nas niestety z poczuciem niedosytu, stosownym raczej dla streszczenia niż samodzielnego tekstu. Efekt końcowy nie jest oczywiście zły, ale jest to przedstawienie silne siłą swoich aktorów i sprytnie zorganizowanego zaplecza: scenografia oraz kostiumy sprawiają wrażenie dopracowanych, przemyślanych, podkreślających najważniejsze aspekty akcji.

Amatorski Teatr Towarzyski z Lublina dał nam dzisiaj popis charyzmy scenicznej i poczucia humoru. Nie zawiódł moich oczekiwań, miejscami sporo je przerósł. Dlatego ze swojej strony, nieskromnie proszę o więcej. Więcej Szekspira na naszych deskach, więcej Szekspira w wykonaniu ATT Lublin i – jeśli to tylko możliwe – więcej Szekspira w Szekspirze.

Grajcie, grajcie, muzykanty...

Musicie wiedzieć, że uwielbiam teatr przeznaczony dla dzieci. Dużo łatwiej znaleźć w nim cnoty, których w kulturze szukam, coraz rzadziej widywane w standardowym teatrze dramatycznym. Mam na myśli spójność fabuły, maksymalizm strojów i wystrojów, ekspresyjną grę przy użyciu bogactwa środków wyrazu. Stąd też zapraszam Was, drodzy Czytelnicy, byście razem ze mną zapomnieli o ciężarze własnych lat i pozachwycali się twórczością Teatru Kaworki z Krakowa.

Słabo znana, a jednak ważna dla europejskiej kultury opowiastka o wyprawie zwierząt domowych z rodzinnej wsi do lasu nie była oczywistym wyborem do adaptacji. Tym bardziej cieszę się, że twórcy sięgnęli właśnie po nią. Materiał okazał się wdzięczny, zapewniając pole nie tylko dla pełnokrwistego teatru dla dzieci, ale też dla istnych igrzysk w śpiewaniu, żartach i zabawie z widownią. W pierwszej kategorii prym wiedzie obdarzona pięknym głosem Gabriela Krowicka w roli Trubadura, której to roli do ideału brakowało tylko trochę zgrabniejszych rymów w piosenkach. Humorystycznie cała ekipa sprawdziła się świetnie, chociaż dla mnie show skradła zbójniczka mimo woli imieniem Gryzelda [Katarzyna Książko]. Spośród bohaterów zwierzęcych nie umiem wskazać faworyta, bo wszyscy zdołali zyskać moją sympatię – byli zwyczajnie zbyt uroczy, żeby ich zlekceważyć! Za dowód, że nie żywię tego sentymentu samotnie, może posłużyć zakończenie dzisiejszego spektaklu, kiedy to dwoje widzów wdrapało się na scenę, żeby poprzytulać strudzonych protagonistów.

„Muzykanci z Bremy” to spektakl dopracowany, robiący wrażenie kostiumami i muzyką, a przyciągający na dłużej swoją serdeczną aurą. Nie obraża inteligencji widza, nie jest nachalnie edukacyjny ani moralizatorski, unikając tym samym problemów endemicznych dla swojego gatunku. Dlatego też z trudem potrafię wyobrazić sobie człowieka, któremu ten spektakl by się nie spodobał. Niechybnie byłby to osobnik, który na pewnym etapie życia spakował swoje wewnętrzne dziecko do worka i oddał zbójcom.

Kiedy świat zmierza ku końcowi

Nowoczesne technologie niewątpliwie stanowią udogodnienie dla większości z nas – ludzi mających to szczęście cieszyć się swobodnym dostępem do prądu czy Internetu. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy dzierżymy tak upragnioną przez wielu wolność w dostępie do modernistycznych wynalazków, czy może jesteśmy do nich uwiązani. „Pieprzona Apokalipsa” wchodzi głębiej w to zagadnienie i dywaguje nad przetrwaniem współczesnego człowieka w obliczu utraty wspomnianych przywilejów, jednocześnie stawiając widza przed pytaniem: czy wciąż potrafimy nawiązać głęboką relację z drugim człowiekiem w świecie pozbawionym jakichkolwiek „rozpraszaczy”?

Spektakl opowiada historię dwóch sióstr, złaczonych bardzo wyboistą, ale jednak pełną miłości relacją, oraz ich nieco zwariowanej sąsiadki. Wszystkie trzy, zupełnie różne bohaterki postawione są przed podobnie trudną sytuacją, z którą mierzą się na trzy zupełnie odmienne sposoby. Ich codzienność przerywa burza geomagnetyczna, która pozbawia je możliwości korzystania z sieci, technologii i całkowicie odcina je od świata. Każda perspektywa, chociaż momentami humorystycznie przerysowana, wydała mi się na tyle ludzka, bym mogła ją w pełni zrozumieć, nawet jeśli nie z wszystkimi wyborami tych postaci się zgadzam. To barwne trio prowadzi nas przez niepewne początki aż do zgęstniałej od niepewności i napięcia atmosfery obrazującej jedną z wersji współczesnego „końca świata”. Emocjonalność ma tu znaczenie i jest bardziej niż zasadna, ale i paradoksalnie popycha człowieka do coraz mniej ludzkich czynów. Momentami chaotyczna forma spektaklu doskonale pasuje do wydarzeń z biegiem czasu pojawiających się w fabule, chociaż przyznam, że raz czy dwa wytrąciła mnie na sekundę z równowagi.

Tę niemalże postapokaliptyczną atmosferę podkreślają kostiumy i neonowe światła, a scenografia celowo daje nam poczucie klaustrofobicznej przestrzeni, która jak sznur powoli owija się wokół wszystkich trzech bohaterek. Uważam, że „Pieprzona Apokalipsa” trafnie polemizuje ze znaczeniem technologii w naszym powszednim życiu oraz skłania do rozważań, czy w obliczu utraty nie tylko tej prozaicznej codzienności, ale również możliwości bezproblemowej komunikacji w społeczeństwie, nasz świat nie zmierzałby ku zagładzie.

Psychomachia z pomidorkami w tle

Jak daleko sięga kobieca solidarność i czy może zostać ściśle zbudowana na zgłiszczach (dosłownie) męskiego ego? W jaki sposób stypa ku czci ukochanego męża może zamienić się w ironiczne zerwanie metaforycznych więzów małżeńskich oraz tyradę ku potępieniu bałamucenia ukochanych osób? „Klub Wdów” Grupy Estradowej SCK odpowiada na te pytania i przekształca je w doprawiony ciętym humorem wywód na temat wszystkich aspektów poznania prawdziwej wolności, która, jak się okazuje, dla każdego smakuje trochę inaczej.

„Klub Wdów” wywraca wszystko do góry nogami. I bardzo dobrze! Rozpacz tu bardzo szybko przechodzi w podszyty czarnym humorem śmiech, a pozornie dostojna, smutna stypa zmarłego Jana staje się polem kobiecego zjednoczenia oraz sceną dla jedenastu niezwykle barwnych bohatererek. To paleta wyrazistych osobowości i chociaż niektóre postaci wysuwają się na pierwszy plan bardziej niż inne, ostatecznie każda z nich dostaje swoje pięć minut i opowiada widzowi swoją historię. Nie znajdziemy tu patetycznych refleksji na temat kruchości ludzkiego życia oraz zawiązywanych podczas jego trwania relacji, chociaż miłosne zawirowania stanowią trzon tej historii. Komedia zdecydowanie wychodzi na pierwszy plan i pozwala dość poważnemu tematowi – mamy tu bowiem uwalnianie się od cudzych oczekiwań i niewygodnych konwenansów – wybrzmieć lekko, bez nadmiernego patetyzmu, ale za to z zadziornym polotem. To przedstawienie udowadnia, że teatr nie musi być zawsze poważny i dotykać ciężkich tematów.

Aktorsko mamy tu naprawdę dobre role, a krzykliwość i kiczowatość (w dobrym znaczeniu tego słowa) charakteryzacji idealnie podkreśla wyrazistość wykreowanych postaci. Pomysł z wykorzystaniem żywego obrazu denata jest bardzo ciekawy i chociaż momentami przemawiający z zaświatów Jan sprawnie pociągał za odpowiedni sznurek, ostatecznie uważam, że spektakl ten nie potrzebował aż tak licznych męskich komentarzy. To tytułowy klub wdów niesie na swoich barkach zarówno komizm sztuki, jak i jej nienachalnie feministyczne przesłanie. Czy jest to spektakl, który odmienił moje życie? Nie. Ale czy bawiłam się znakomicie? Jak najbardziej.

Co dwie głowy to nie jedna

W ostatnich czasach tendencja do zagłębiania się w studium toksycznych związków zdecydowanie wzrosła. W nieodpowiednich rękach może to doprowadzić do romantyzowania przemocy (zarówno fizycznej, jak i psychicznej) oraz szerzenia dezinformacji. Z drugiej strony, odpowiednio szerokie i wrażliwe podejście do tego tematu służy nie tylko uświadamianiu ludziom, w jaki sposób do takich relacji podchodzić i jak je poznać, ale również stanowi bardzo ciekawą i wartą bliższej obserwacji psychologiczną analizę. Spektakl „Dwie Głowy” Teatru Otczapy trafnie prezentuje całłościowy przebieg takiej więzi od słodkich początków poprzez gorzki koniec aż do – a to chyba najważniejsze – wiążących się z nią konsekwencji. Co godne uznania, główne miejsce w świetle reflektorów zajmuje tu ofiara, bo to właśnie jej głosem podążamy wraz z postępem fabularnym.

Główną bohaterkę przedstawienia poznajemy w sytuacji bardzo dramatycznej, bowiem za punkt wyjścia obrany jest tu moment jej dziecięcej śmierci klinicznej. Nieprzypadkowo widzimy całą sytuację oczami młodej dziewczynki – ta małaletnia niewinność będzie się przewijała wraz z trwaniem przedstawienia i ostatecznie przerodzi się w coś znacznie dojrzałego, ale przedtem niebezpiecznego. Wielowarstwowość przemocowej relacji emocjonalnej, w którą wchodzi protagonistka na etapie dorosłości, przedstawiona jest tu konsekwentnie i w nawiązaniu do wspomnianego motywu dziecka, za pomocą licznych zabaw, które wiele z nas zapewne kojarzy z okresu swojej wczesnej młodości. Uważam ten pomysł za dość oryginalny, a przy tym zadziwiająco trafny. Wyniszczający związek popycha kobietę w bardzo niebezpieczne rejony – jakie dokładnie, zdradzać nie będę, bo uważam, że każdy powinien wyciągnąć własne wnioski i zdecydować, dlaczego, a może i czy w ogóle, bohaterka narodziła się na nowo. Tytułowe dwie głowy to naturalnie symbolika odwiecznej walki serca z rozumem i chociaż tematyka ta jest w kulturze dość powszechna, zgrabnie tu wybrzmiewa, ponieważ to właśnie ona stanowi największy trud toksycznych relacji. Finałowa przemowa jest ładnym zwieńczeniem historii, chociaż w mojej ocenie momentami wyciąga się w niej na wierzch wnioski w sposób zbyt dosłowny i odrobinę egzaltowany. Pozwolenie widzowi na samodzielne wysnucie z tej historii konkluzji byłoby, według mnie, ciekawszym rozwiązaniem, ale rozumiem też potrzebę przedstawienia tych refleksji wprost.

Należy również zwrócić uwagę na świetne wykorzystanie przestrzeni scenicznej – mowa tu zarówno o rekwizytach, jak i grze świetlnej oraz żywej gestykulacji, podkreślającej dosadność tej historii. Część tych rozwiązań wydała mi się bardzo kreatywna i świetnie pasowała do tej krótkiej, acz treściwej formy przedstawienia. Gra aktorska była przekonująca, a rozdzielenie roli głównej bohaterki na dwie aktorki dodatkowo podkreśla dualizm tej postaci, z którą bardzo łatwo się utożsamić. Spektakl skłania do refleksji, zasmuca, a jednocześnie daje pewną nadzieję, a przede wszystkim stawia ważne pytania, które każdy z nas powinien sobie w głębi ducha zadać.



łódzki
dom kultury

Institucja Kultury
Samorządu Województwa
łódzkiego

16-18.10.2026

Teatr im. Stefana
Jaracza,
ul. Jaracza 27

wstęp wolny

ŁÓDŹ
39.

Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Partner Honorowy



MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO
Joanna Skrzydlewska

ŁÓDZKIE